Słuchaj, dzieweczko!
- Ona nie słucha -
To dzień biały! to miasteczko!
Przy tobie nie ma żywego ducha.
Co tam wkoło siebie chwytasz?
Kogo wołasz, z kim się witasz?
- Ona nie słucha. -

ROMANTYCZNOŚĆ INACZEJ

Nigdy nie wierzyłam w duchy. Już we wczesnym dzieciństwie wpojono mi sposób patrzenia na świat poprzez szkiełko i oko, a tym samym obdarto z nieodzownych elementów tych beztroskich lat - wyczekiwania na Dzieciątko w wigilijną noc, poszukiwania kwiatu paproci, szeptania życzeń do spadającej gwiazdy....
Nie żałowałam tego, wręcz przeciwnie, patrzyłam z pewnego rodzaju wyższością na zabobonnych rówieśników. Nawet kiedy przestałam być podlotkiem, a stałam się pannicą, nie brałam udziału w tych śmiesznych obrządkach wywoływania zjaw przy pomocy świec zapachowych i zaciągniętych żaluzji w oknach.
Tak, nigdy nie wierzyłam w duchy, ale odkąd powróciłam do rodzinnego miasta, trudno mi było pozbyć się wrażenia, że otaczają mnie one ze wszystkich stron.
Oczywiście nie miałam na myśli bladych mar pobrzękujących łańcuchami, jak stary Marley nawiedzający Scrooge'a; nie, były to raczej widma przeszłości, odbicia tego, co dawno minęło.

*

Z pewną goryczą zauważyłam, że róże zaczęły obumierać.
To moja wina. Osobiście nalegałam, żeby je posadzić; powinnam była przychodzić tutaj codziennie, dbać o nie i wygłaszać monologi do kamiennego nagrobka, udając, że tak naprawdę rozmawiam z nim. Zamiast tego stchórzyłam i uciekałam przez ponad rok przed poczuciem winy, wypierając każdą myśl o wypadku.
Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa.
Właściwie to nie wiem czego spodziewałam się po tej wizycie, pierwszej od dnia pogrzebu. Katharsis? Zrzucenia z serca ciężaru, do którego i tak już przywykłam? Jakiegoś znaku? Jak na razie po prostu marzłam w zbyt cienkim palcie i nerwowo wyłamywałam sobie palce, czując się jakbym znowu była małą dziewczynką oczekującą na zbesztanie (*tylko przez kogo?*).
Rozejrzałam się. Cmentarz był prawie pusty, z wyjątkiem staruszki porządkującej dwa groby i pary w średnim wieku zapalającej znicz na maleńkim nagrobku. Znajdowali się oni jednak na tyle daleko, że nie powinni mnie usłyszeć.
- Jan? - zaczęłam zachrypniętym głosem. - Hej, słyszysz mnie? Pamiętasz? Wiem, że to nie ma sensu i nie wierzę, że tu jesteś, ale… Ale to coś, co ty byś zrobił, prawda? Rozmawiałbyś ze zmarłymi. Byłeś bardziej uduchowiony ode mnie, wyśmiewałeś mój sceptycyzm, moją niewiarę, i co ci z tego przyszło?! - zdałam sobie sprawę, że prawie krzyczę. - Ja… ja przepraszam. Za wszystko.

Odpowiedziało mi tylko wycie wiatru. Zaczął ogarniać mnie wstyd, zaś policzki zaczerwieniły się mimo przeszywającego mrozu. Nie wiedziałam, czego w ogóle się spodziewałam przychodząc tutaj.
Duchy nie istnieją. Zmarli nie przemawiają. Jego już nie ma.
Życie toczyło się dalej, a ja najwyraźniej z upływem lat robiłam się coraz bardziej przesądna.

Położyłam jeszcze świeże kwiaty - lilie, białe lilie - na nagrobku, mimo drżących z zimna dłoni udało mi się zapalić znicz, ostatni raz spojrzałam na epitafium i powoli ruszyłam w stronę cmentarnej bramy, zatopiona w myślach o swoich planach na najbliższe kilka dni.
Postanowiłam zatrzymać się u rodziców oraz odwiedzić jeszcze paru starych znajomych, powspominać z nimi licealne lata, a potem wrócić do Krakowa i zakopać się w książkach, żeby szybciej o wszystkim zapomnieć. Tak było najrozsądniej; zresztą, wkrótce czekały mnie egzaminy końcowe i ledwo udało mi się oderwać od nauki nawet na tak krótki czas.
Najkrótsza droga do mojej rodzinnej kamienicy wiodła przez park na obrzeżach miasta. Dawniej tętnił życiem, ale w ostatnich latach zaczął stopniowo podupadać - place zabaw niszczały i pokrywały się rdzą, kawiarnie były masowo zamykane, na niestrzyżonych trawnikach walały się butelki i reklamówki… Gwoździem do trumny okazało się wybudowanie znacznie bardziej atrakcyjnego i bezpieczniejszego skweru w centrum.
Sama darzyłam to miejsce ogromnym sentymentem. Ze względu na to, że znajdowało się w wyjątkowo małej odległości od mojego dawnego domu, zwykłam być jego stałą bywalczynią.

Tu też poznałam swojego Jasieńka - miałam szesnaście lat, aparat na zębach i wiele kompleksów, dlatego najlepiej się czułam w jednej z wielu kawiarenek, tej skrytej pomiędzy drzewami i rzadko uczęszczanej przez miejscową gawiedź. Pewnie bliskie sąsiedztwo cmentarza i fakt, że z niektórych okien widać było jego mury graniczne nie dodawały jej popularności, ale mi to nie przeszkadzało; przychodziłam tu prawie codziennie od razu po szkole, zamawiałam jaśminową herbatę, siadałam przy stoliku położonym w samym kącie sali i zaszywałam się w swoich książkach. Nie szukałam niczyjego towarzystwa, wręcz przeciwnie - robiłam wszystko, żeby zwracać na siebie jak najmniejszą uwagę.
Wszystko zmieniło się podczas jednej z listopadowych niedzieli, dokładnie pięć lat temu. Za oknami bielił się pierwszy śnieg, a ja spędzałam poranek pochylona nad swoją wyświechtaną kopią Ballad i romansów Mickiewicza. Lokal był prawie pusty - nie licząc mnie, znajdowała się tu tylko jedna para w podeszłym wieku, gawędząca wesoło nad tortem bezowym. Od lektury nie oderwał mnie nawet dźwięk dzwonka przy drzwiach, obwieszczający przybycie nowego gościa.
Podniosłam głowę dopiero wtedy, gdy tuż koło mnie rozległo się szuranie odsuwanego krzesła, a ów gość (który notabene okazał się także posiadaczem szerokiego uśmiechu, burzy kasztanowych loków i przenikliwie zielonych oczu) zapytał, czy “Panienka nie ma aby nic przeciwko temu, bym dotrzymał jej dziś towarzystwa?”. Nie miałam.

Skręciłam w alejkę prowadzącą do kawiarni. Nie należałam do osób zbyt sentymentalnych, ale wizyta na cmentarzu musiała sprawić, że do głosu doszła ta bardziej nostalgiczna i emocjonalna część mojej osobowości; poza tym, perspektywa chwilowej ucieczki od siarczystego, listopadowego mrozu i rozgrzania się przed dalszym marszem była wyjątkowo kusząca.
Nie byłam nawet pewna, czy wciąż ją tam zastanę - w końcu ostatnimi czasy splajtowało wiele tutejszych kafejek, nawet tych popularniejszych niż “moja”, staroświecka i przycmentarna.

Coś we mnie drgnęło, kiedy zza drzew zaczął wyłaniać się niski, bielony budynek. Nie zmienił się ani o jotę - w oknach wisiały te same firany, tynk odpadał dokładnie tam, gdzie kilka lat temu, zaś przez otwarte drzwi dobiegały dźwięki jazzowej składanki, która odtwarzana była także wtedy, kiedy przychodziłam tu pracować nad swoim gimnazjalnym zadaniem domowym.
Powitał mnie tak dobrze znany odgłos dzwonka, a od progu uderzyła fala ciepła i zapach tortu bezowego. Usadowiłam się przy kontuarze i uśmiechnęłam, kiedy pani Maryla postawiła przede mną filiżankę herbaty jaśminowej.

- Na koszt firmy. Dziecko, tak dawno cię nie widzieliśmy, a kiedyś przybiegałaś tu codziennie! Jak podoba ci się w wielkim mieście? - zapytała mnie, polerując sztućce i porządkując coś przy kasie.
- Ah, wie pani, nie narzekam, ale czasem brakuje mi tej lisowieckiej sielanki... I w żadnej krakowskiej kafejce nie serwują takiej herbaty, słowo daję!
- Przecież pamiętasz, co ci kiedyś powiedziałam - tylko ja znam na nią przepis i mam zamiar zabrać go ze sobą do grobu - mrugnęła porozumiewawczo i odeszła przyjąć zamówienie od jednego z klientów, starszego mężczyzny w podniszczonym garniturze.

Nagle poczułam się dziwnie nieswojo, jakbym tu z jakiegoś względu nie pasowała. Przeszył mnie zimny dreszcz, co musiało zwrócić uwagę siedzącego koło mnie chłopaka.

- Czy panience jest zimno? Jeśli tak, mogę zaoferować swój płaszcz - uśmiechnął się.

Skrzywiłam się. Nie miałam ochoty na flirty, nie w rocznicę pierwszego spotkania z Jankiem, nie zanim zabliźnią się krwawiące wciąż rany. Poza tym tylko on nazywał mnie per “panienką”. Wiedziałam, że nieznajomy nie miał złych zamiarów i nie mógł o tym wiedzieć, ale…

- Dziękuję, ale nie ma takiej potrzeby. Po prostu źle się poczułam - wydukałam uprzejmym, ale stanowczym tonem.
- Panienka jest miejscowa? Nie przypominam sobie, żebym cię tu wcześniej widział.
- Pochodzę stąd, ale mieszkam na stałe w Krakowie. Przyjechałam tu tylko na weekend, żeby odwiedzić cmentarz.
- To miłe z pani strony, w tych czasach mało kto z młodych pamięta o zapaleniu znicza na grobie dziadków, a to przecież-
- Narzeczonego. Na grobie narzeczonego, nie dziadków - przerwałam mu.
- Och, przepraszam. Ja… ja nie wiedziałem - zaczerwienił się.

Zrobiło mi się głupio. W końcu to nie jego wina, że byłam w tak podłym nastroju, bo chwilę wcześniej próbowałam krzyczeć na nagrobek.

- Nie, to ja przepraszam za swoje maniery. Po prostu… to właśnie tu się poznaliśmy, dokładnie pięć lat temu. Przysiadł się do mnie, bo zobaczył, że czytam Mickiewicza. Zaczął się zachwycać jego geniuszem i chwalić mój gust, a ja zgasiłam jego entuzjazm i skwitowałam, że to jedynie moja praca domowa i sama, jako zdeklarowana pragmatyczka, szczerze nie cierpię twórczości wieszcza - mimowolnie się uśmiechnęłam. - Jego oburzenie było przekomiczne. Spędziliśmy resztę poranka dyskutując o literaturze. Następnego dnia też tu przyszedł. I kolejnego, i kolejnego… Byliśmy parą przez całe liceum, oświadczył mi się po maturze, a miesiąc później mieliśmy wypadek. To ja prowadziłam - zawiesiłam głos - Wciąż to sobie wyrzucam, wie pan?
- Niepotrzebnie. Jestem pewien, że to był mądry chłopak i nie obarczałby panienki winą. Przecież tak bardzo cię kochał - z jakiegoś powodu zmienił mu się ton głosu, tak, że ostatnie zdanie wypowiedział prawie szeptem.

- Ale gdyby nie ja, on wciąż… - przerwałam, zwalczając łzy. - Miał studiować literaturę, zostać wielkim poetą i zwiedzić pół świata, a moja chwila nieuwagi odebrała mu to wszystko. Niech pan mi powie, jak można coś takiego komukolwiek wybaczyć?
- A może tak miało być? Może jego przeznaczeniem były nie studia i krymskie wojaże, ale spędzenie z panienką paru pięknych lat i nauczenie jej czegoś o prawdziwym znaczeniu życia? I o tym, że jednak są rzeczy, których nie możemy objąć rozumem? Proszę nie płakać, bo naprawdę nie ma ku temu powodu. On… on by tego nie chciał. Naprawdę.

Dopiero teraz podniosłam głowę i spojrzałam na niego. Na pierwszy rzut oka nie wydawał się starszy ode mnie, ale było coś… nieuchwytnego i płynnego w jego urodzie. Miałam wrażenie, że wyglądał trochę inaczej za każdym razem, kiedy mrugnęłam albo odwróciłam na chwilę wzrok. Jedynie jego oczy się nie zmieniały - za każdym razem były przenikliwie zielone. Znałam tylko jedną osobę obdarzoną takim kolorem tęczówek. *Niebiosa, to naprawdę dzień dziwnych zbiegów okoliczności.*

- Przepraszam, ale muszę już iść - szybko narzuciłam na siebie palto i podniosłam torbę. - Muszę wracać do domu, mama czeka już pewnie z obiadem i… - zdałam sobie sprawę, że brzmię jak gimnazjalistka i zarumieniłam się. - Dziękuję. Dobrze było móc w końcu się komuś zwierzyć i wyrzucić to z siebie. Do widzenia.
- Do zobaczenia, panienko Karusiu - rozbrzmiało za moimi plecami.

Nie odwracałam się za siebie i szłam tak szybkim krokiem, że prawie przypominało to bieg. Zwolniłam dopiero przy wyjściu z parku. Nie miałam pojęcia, co mnie do tego skłoniło, ale czułam, że nie mogę zostać tam ani chwili dłużej. W tym miejscu było coś naprawdę niepokojącego i na wszelki wypadek wolałam posłuchać swojej intuicji.
Mimo to… Nie żałowałam tego, że odwiedziłam *Uszczerbioną Filiżankę*, nie żałowałam rozmowy z nieznajomym i nie żałowałam nawet incydentu na cmentarzu.
W końcu po raz pierwszy od długiego czasu nic nie ciążyło mi na sercu i czułam się tak cudownie, cudownie lekko.

*

Dopiero przy drzwiach wejściowych mieszkania moich rodziców zdałam sobie sprawę, że nie wypiłam nawet łyku herbaty przygotowanej przez panią Marylę. Miałam mgliste wrażenie, jakby zarejestrowała to tylko moja podświadomość, że nieznajomy odsunął dyskretnie filiżankę podczas rozmowy ze mną. *Tylko dlaczego?*

- Mamo! Wróciłam! - zawołałam od progu.
- Na Boga, Karina, gdzie się tyle podziewałaś? Miałaś wyjść tylko na chwilę, obiad zdążył już wystygnąć!
- Wybacz, w drodze powrotnej z cmentarza wpadłam jeszcze do *Uszczerbionej Filiżanki*, wiesz, tej kawiarni w starym parku - odparłam, wieszając płaszcz na stojaku.

Mama odłożyła talerze i spojrzała na mnie dziwnie.

- Jesteś pewna, że to była ta sama kafejka?
- Tak, dlaczego pytasz?
- *Uszczerbioną Filiżankę* zamknęli prawie rok temu, krótko po twoim wyjeździe na studia. Pani Maryla miała zawał serca, a żadne z jej dzieci nie chciało przejąć biznesu po tak niespodziewanej śmierci. Zresztą, trudno im się dziwić… *Filiżanka* nigdy nie miała wielu

klientów, tylko ty i twój Jasiu odwiedzaliście ją tak często. Nigdy tego nie rozumiałam, to było szalenie nieprzyjemne miejsce… Kto to widział, kawiarnia w pobliżu cmentarza? Niektórzy twierdzili nawet, że tam straszy!

GODŁO: Loreley
KATEGORIA WIEKOWA: Młodzież